

JÓZEF JERZY
HORDYŃSKI-FED'KOWICZ

POETA RUSIŃSKI NA BUKOWINIE.

SZKIC LITERACKI.

Napisał

ABGAR-SOŁTAN.



W KRAKOWIE,

W DRUKARNI »CZASU« FR. KLUCZYCKIEGO I SP.
pod zarządem Józefa Łakocińskiego.

1892.

JÓZEF JERZY
HORDYŃSKI-FED'KOWICZ

POETA RUSIŃSKI NA BUKOWINIE.



SZKIC LITERACKI.

Napisał.

ABGAR-SOŁTAN.



W KRAKOWIE,

W DRUKARNI »CZASU« FR. KLUCZYCKIEGO I SP.
pod zarządem Józefa Łakocińskiego.

1892.

Osobne odbicie z *Przeglądu Polskiego* z Grudnia 1891 r.

Nakładem Autora.

JÓZEF JERZY HORDYŃSKI-FED'KOWICZ.



SZKIC LITERACKI ¹⁾.



Słońce kryło się już za góry, mgłą białą otulone; wiatr ostry a chłodny gwał i miotał młodocianem, jodłowem zarosłem; u stóp naszych szumiał gniewnie wezbrany, rwący Czeremosz...

Schodziliśmy właśnie wązką ścieżyną, wijącą się po nad straszliwą przepaścią, a drogą wiodącą ze szczytów *Sokulskiego* pasma — w doliny, ku brzegom Czeremoszu. Ścieżyna stawała się coraz węższą i bardziej stromą; słońce chyliło się coraz to niżej, a Czeremosz huczał z każdą chwilą groźniej i uroczyściej... Wspaniały strumień górski zdawał się być zaledwie o krok od nas, zdawał się podmywać ścieżkę, po której szliśmy — a płynął w rzeczy samej co najmniej o jakie dwieście metrów poniżej.

¹⁾ *Poezyi* Josifa Fed'kowycza. Lwów, 1862.

Michaila Dragomanowa: *Perednie słowo pro halycko-ruśkie pysmnyctwo*. W zbiorowym wydaniu powieści Fed'kowicza, Kijów, 1876 r. (stron I—LVI i tekst Fed'kowicza).

Osip Juryi Fed'kowycz. Kilka słiw po powodu 25 letnoho jubileja jeho literaturnoji dijatielnosti. Artykuł Iwana Franko. (*Zorya* 1886 r. 236—237 str.).

Dr. Omelian Ogonowski: *Istoria literatury ruśkaji*. (*Zorya*, 1888 r. NNr. 11, 12, 13).

Osip Juryj (Igor) Hordynskij-Fed'kowycz. Artykuł Gregorya Cehlińskoho (*Zorya*, 1888 Nr. 2).

Huculi, nasi przewodnicy, zachęcali nas do pośpiechu, i czynili to słusznie, opóźnienie bowiem mogło pociągnąć za sobą smutne następstwa: droga była bardzo niebezpieczna, a miejscowe ustne kroniki wspominają o niejednym wypadku śmierci na dnie przepaści, roztwierającej się u naszych stóp. Czulem się jednak tak znużonym po całodzienną pieszej wędrówce, a równocześnie tak silnie oczarowywał mnie potężny i dziki widok, na który patrzałem, że mimo przestróg starego przewodnika, usiadłem na omszałym kamieniu, tuż po nad brzegiem przepaści.

Obok mnie ulokował się młody student filozofii czernowieckiego uniwersytetu, Rusin z pochodzenia; był to śliczny dwudziestokilkoletni chłopak o klasycznym profilu i dużych, czarnych, rozmarzonych oczach... Spotkałem go w czasie wycieczki na Czarnohorskie szczyty, i od tego czasu przyłączył się on do naszej karawany; rad z tego byłem, bo miałem w nim milego towarzysza. Siedząc tak obok siebie, zadumani wpatrywaliśmy się w kipiące dno przepaści.

Dziwne myśli opanowywać mnie zaczynały... Myślałem o miejscowym podaniu, żyjącem wśród ludu huculskiego, a głoszącem, jakoby tam na dnie, w nurtach Czeremoszowej głębi, mieszkała psotna a niegodziwa Rusalka i cudnemi swojemi oczami wabiła ku sobie nieopatrznych wędrowców; równocześnie stanęły mi żywo w pamięci: smutki w życiu, doświadczone rozczarowania, bolesne zawody... Każda otchłań nęci ku sobie, modra toń Czeremoszu własność tę posiada w najwyższym ponoś stopniu; po chwili takiego wpatrywania się zacząłem uczuwać zawrot głowy... Z niebezpiecznej tej zadumy wyrwał mnie nagle głos mego młodego towarzysza, który jakby odgadując stan mej duszy, zaczął deklamować miękkiem, bukowińskim akcentem następującą strofę:

Ne znaju bratia, ezom nyini
 Takij obhortaje mia sum;
 I ta Sokilska kniahinia
 W odno ne schodyt my z dum;
 I sonce za dił wre sidaje
 I merkne nebo sklon;

Łysz szpył Sokilskojij sijaje
 Jak zołotyj szołom...

Sluchałem z dziwną przyjemnością słów nieznanego mi podówczas poety, wygłaszanych z uczuciem przez rozentuzymowanego młodzieńca; słowa te, zlewając się z pogwizdem wichru karpackiego i szumem górskiej rzeki, tworzyły całość wspaniałą, piękną.

Wszyscy obecni zamilkli; huculscy przewodnicy oparci na toporkach, zdawali się łowić słowa w przelocie; a młody zapaleniec coraz ogniościej deklamował: ...jak to młody i piękny Kiermanycz¹⁾, wioślarz sławny i nieustraszony, płynąc po rzece, u stóp „Sokulskiej“ skały, tak zasłuchał się w śpiew zaczarowanej na szczytach księżniczki, że zapomniiał o całym otaczającym go świecie, aż tu nagle zdarzyło mu się nieszczęście:

A tojże Kiermanycz w dołyni
 Zabuw... za derabu²⁾ — za swit,
 W odno sia łysz dywyt d' kniahyńi
 Szczo tam na Sokilskim stoit.
 A Czeremusz bratia hlibokyj,
 A Czeremusz bratia — jak bis,
 A Czeremusz bratia po skokach
 Rozbytu derabu ponis.

Student skończył deklamować tę prześliczną i dziwnie do miejscowości zastosowaną przeróbkę Heinowskiej ballady; skończył, lecz czar nie zaraz prysł i dość długo jeszcze byliśmy pod wrażeniem jego słów. Po dłuższej dopiero chwili znagnieni przez przewodników, ruszyliśmy w dalszą drogę. Szliśmy wązką ścieżką, jeden za drugim — gęsiego; z powodu bardzo niebezpiecznej i przykłej przeprawy, nie mogliśmy do siebie słowa przemówić. Dopiero minawszy najgłębszy parów, który był najtrudniejszym do przebycia, zna-

¹⁾ Kiermanycz — sternik, prowadzący tratwy.

²⁾ deraba — tratwa, splaw.

leżliśmy się na szerokim, nawet dla koni przystępnym płaju ¹⁾. Obejrzałem się wówczas poza siebie i ujrzałem tuż obok ruskiego studenta; czuł on jakąś sympatyę ku mnie i szukał zawsze sposobności rozmawiania ze mną.

— Kto jest autorem wiersza, któryś pan deklamował przed chwilą? — spytałem młodzieńca.

— Juryj Fed'kowiez!... Nasz nieodżałowany kobzarz, natchniony piewca zielonej Bukowiny!... — odpowiedział student, a w głosie jego drgał smutek prawdziwy, dzwięczała szczerza boleść.

— Niema go już między żyjącymi — mówił dalej — pochowano strudzonego śpiewaka w rodzinnej, bukowińskiej ziemi, w cieniu buku zielonego... Dobrze, lekko być mu tam musi, pod tą ziemią, którą kochał za życia tak serdecznie, tak namiętnie... Śpij, śpij, Synu Bojana!

.
Zszedłem z gór w doliny bukowińskie, a pieśń bukowińskiego barda, którą słyszałem nad Sokulską przepaścią, szła wraz ze mną, dzwięczała mi w duszy, niedawała spokoju i zmuszała do zebrania bliższych wiadomości o życiu i czynach tego nieznanego mi poety. Zacząłem więc pilnie dopytywać się o szczegóły biografii Fed'kowieza i o jego wpływ na Rusinów bukowińskich.

Pytałem zrazu tradycyi, później sięgnąłem do źródeł drukowanych; a przed moimi oczami roztaczał się coraz szerzej piękny obraz człowieka, który poświęcił całe życie na rozbudzenie poczucia narodowego w sercach współbraci, który budził do życia plemię ugniecione przez dawne centralistyczne rządy i schizmatycki rumuński konsystorz czerniowiecki. Postać ta natchniona, występuje nadzwyczaj wyraziście na tle ponurego obrazu, jakiś blask ją otacza; osobistość Fed'kowieza ma w sobie coś z tego czaru, który unosił się w koło wielkich poetów, wielkich patriotów, wielkich bohaterów; pomimo, że pisał pokrewnym tylko językiem, wielkie podobieństwo ducha patriotycznego i smutku

¹⁾ płaj — ścieżka szeroka, po której można konno przejechać.

dziwnego łączy go z plejadą naszych poetów, z którymi i krwią był złączony.

Śpiewak Juryj, jak bard bohaterski, kobzarz, lirnik z legendy, chodził tam po szczytach i po łoninach, odwiedzał cerkwie i chaty włościańskie, wstępował i do karczem nawet i wykradał z ust ludu pieśń żywą, drgającą krwią tego ludu; wsłuchiwał się w szepty grobów dawnych i z pod mogiły wydobywał stare podania i weciłone w żywe obrazy podawał czytelnikom.

Z dziwną i trudną do wytłumaczenia obojętnością, traktowaliśmy dotychczas objawy życia i kultury pobratymczego, a tradycją historyczną tak ściśle z nami związanego rusińskiego narodu. Nie mamy dotychczas jasnego pojęcia o piśmiennictwie ruskiem, o poetach i uczonych. Nie wspominając już o francuskiej, angielskiej, niemieckiej literaturze, ale nawet — dzięki ostatnim pracom p. Porębowicza — znamy lepiej literaturę hiszpańską i prowensalską, niż pobratymczą — ruską.

Nie mam zamiaru twierdzić tu, że obeznanie się z piśmiennictwem ruskiem, przyniesie komu takie korzyści, jak znajomość którejkolwiek z powyżej wymienionych literatur wielkich narodów zachodnich; nie znajdziemy bowiem, w tem do życia zaledwie budzącem się piśmiennictwie utworów genialnych, wszechświatową wartość mających; nie wzniósł się jeszcze duch twórczy tego narodu do poziomu będącego udziałem innych narodowości — silnych, możnych i od wieków ukształconych. Pomimo to jednakże uważam, że jest naszym obowiązkiem zapoznać się z budzącym się tam duchem narodowym, z kielkującą twórczością literacką — zapoznać się i ku objawom tym pomocną rękę wyciągnąć i starać się goić rany, zadawane sobie nawzajem przez ciąg wieków, w kainowej walce. Rusini na Bukowinie osiedli, stojący zdala od walk domowych, toczących się w Galicyi, nie drażnieni ustawicznie przez dzienniki i pseudo-patryotów z liberalnego obozu — rankoru do nas w sercach nie mają i skłonni są przyjazną dłoń ku Polsce wyciągnąć; czują bowiem w niej wyższego ducha i szlachetne dążności dziejowe. Zmarły przed kilku laty ruski poeta Fed'kowiez, był też właśnie jednym z przedstawicieli tego pokojowego, ugodowego kierunku.

I.

„Smutno! Oh i bardzo smutno było na Bukowinie; zdawać się mogło, jakby życie narodowe i umysłowe miało zamrzeć tam na wieki.“ Tak zaczyna prof. Emilian Ogonowski — w swej książce o ruskiej literaturze — ustęp traktujący o Fed'kowiezu. Mówi to o czwartym dziesiątku naszego stulecia, o latach ucisku i despotyzmu centralistycznego, który tak się był wówczas rozpanoszył w habsburskiej monarchii. Polacy, Węgrzy, Czesi, Kroaci i Rusini, wraz nimi mieli — z woli systemu rządzącego — zapomnieć raz na zawsze o tem, o czem tradycje narodowe pamiętać im nakazywały, a mieli stać się wprost — Niemcami. Gniewiono i prześladowano brutalnie; nie uderzyła jednak wówczas jeszcze owa smutnej pamięci dla nas godzina, w której macehawielsko przewrotny pomysł miał w myśl szatańskiej zasady *divide et impera*, wrzucić pomiędzy dwa bratnie narody zarzewie długiej niezgody, nie powołano jeszcze natenczas do życia doktrynersko-wymyślonej narodowości: austriackich *Ruthenów* — Polacy i Rusini dzielili wspólnie losy jak dawniej, przez cały czas trwania wspólnej historii.

W opoce tego bolesnego uśpienia, tego chorobliwego letargu, urodził się i podrośł chłopak, który miał w przyszłości naciągnąć nowe struny na opuszczoną, zakurzoną gęśl Bojanową, chłopiec, który wyrosłszy na męża, miał przy dźwięku tej nadszczerbionej liry, przypomnieć pobratymcom, że słowiańska krew w ich żyłach płynie, że liczne miliony ludu mówią takimsamym językiem jak oni, że mowa ta rozlega się na przestrzeni od nurtów Cisy po fale Dniepru i dalej, po smutne brzegi tęsknego Donu.

We wsi Storonka-Putyłów w r. 1843 urodził się nasz poeta. Ojciec jego był polskim szlachcicem, nazywał się Hordyński ¹⁾ i pochodził ze szlacheckiej osady w Samborskiem, Hordyni; Hordyńscy z powodu wielkiego roz-

¹⁾ Czerniowiecki profesor p. Smal-Stockij utrzymuje, że nazwisko Fed'kowieza w urzędowych spisach brzmi: Josef Dominik Hordyński Ritter von Fed'kowiez.

rodzenia, używają rozmaitych przydomków; otóż ojciec poety używał przydomku Fed'kowiez. — Stary Hordyński należał do tak zwanej „palestranckiej“ szlachty i zajmował stanowisko rządowego mandatarjusza w Putylowskich górach. Matka poety była córką schizmatycznego popa Haniekiego, proboszcza sąsiedniej parafii, a wdową po Dańkiewicz, również duchownym, orientalnego wyznania. Młodego Józefa ochrzcił był łaciński ksiądz, a ojciec miał zamiar wychowywać go na Polaka; ciężkie jednak losy i koleje życia skierowały tego „syna szlacheckiego“ w inną stronę, a przeprowadziwszy go przez kręto wijące się aż po nad przepaście ścieżyny, na których krzewiły się bujnie osty i ciernie życia, zrobiły zeń rusińskiego narodowego poetę. Nie mamy potrzeby zazdrościć Rusinom tego nabytku — my z łatwością możemy przeboleć stratę jednego liryka, u nich zaś zajął on drugie zaraz miejsce po Szewczenec.

Stary Hordyński nie był dobrym i troskliwym ojcem dla młodego poety. Hardy i wietrzny, polski „palestrant“, otrzymawszy znaczniejsze i bardziej honorowane miejsce dyrektora tabuli krajowej w Czerniowiecach, opuścił żonę, górską parafiankę, i nie dbał zupełnie o los pozostałej w górach rodziny. Żył on długo jeszcze potem, lecz nigdy nie chciał zawiązać na nowo stosunku z rodziną, nawet wówczas gdy cały naród głosił sławę jego syna Józefa, gdy skroń jego własnego dziecka laurem zasługi wieńczono. Polski szlachcic, obskurant, w austriackich, biurokratycznych zasadach wzrosły, nie mógł zrozumieć stanowiska zajmowanego przez syna; godność... chłopskiego poety, uważał prawie za *polizei-würdig* i dziwił się zawsze, dlaczego władza administracyjna nie każe go pojmać i uwięzić.

Opuszczona matka, była jedyną opiekunką przez pól osierociałych dzieci. Było ich pięcioro: dwóch braci i trzy siostry. Gromadka ta rosła wśród prywacy i nawet niedostatku, lecz otaczała ją cudownie piękna przyroda gór bukowińskich. Do snu kołysały małego „syna muz“ melancholijne szumy wiatrów karpaccich, ciche piosunki niańki, starej Huculki, śpiewającej o czynach „Dowbosza“ sławnego opryszka i losach jego licznych towarzyszy, o dawnej, ničem nie kępowanej wolności huculskiego plemienia, wresz-

cie czule i smętne opowieści zbolalej matki, o rozdartem sercu kobiety.

Dwaj bracia rodzeni poszli zupełnie różnymi drogami. Starszy Grzegorz Hordyński, wyrosły z dzieciństwa, wyniósł się na Multany i tam nauczywszy się rzemiosła litograficznego, dorobił się znacznego mienia; wśród dobrobytu i powodzenia wszechstronnego, zapomniał o swem słowiańskim pochodzeniu, a nawet w celu zatarcia wszelkich śladów swej polskości, przewał się z rumuńska: Gigori Agapi. Józef pozostał w domu, wśród nędzy i boleści; wszystkie siostry jedna po drugiej świat ten opuszczały, a niedostatek doskwierał coraz bardziej. Nie mogę przytoczyć imion siostr naszego poety, zagięły one w niepamięci fali; nawet ludzie, którzy znali Fed'kowicza osobiście i byli z nim w zażyłości, nie mi nie umieli o nich powiedzieć. Pewnem jednak jest, że jedna z siostr wywarła na młody umysł, na dziecinną wyobraźnię poety niezatarty wpływ. Musiała być od Józefa znacznie starsza, i kiedy on był dzieckiem, nianczyła go i „spiewankami“ ludowymi do snu kołysała. O siostrze tej poeta wyrażał się z wielkiem uczuciem; twierdził, że ona to wlała w jego umysł serdeczne przywiązanie do ziemi rodzinnej i plemienia huculskiego; ślady tego braterskiego przywiązania spotykamy w liście Fed'kowicza, pisanym do Didyckiego, który wydrukowano przy pierwszym wydaniu „Poezyi Fed'kowicza“ we Lwowie.

Nie długo los pozwolił podrastającemu chłopakowi bawić wśród swoich, w rodzinnych górach — bieda wyгнаła go z domu i kazała w szerokim świecie szukać suchego kęsa chleba... Wzbogacający się w multañskiej ziemi brat poety, już naówczas pan Agapi, wezwał go do siebie i obiecał wyczyć go swego rzemiosła i pomódz w promocyi. O bracie tym wynarodowionym, nie lubił Fed'kowicz wspominać; przywiązania braterskiego wielkiego znać między nimi nigdy nie było. Krótko też bardzo zostawał pod opieką swego starszego brata; zamilowania do rzemiosła litograficznego nie nabrał i wkrótce go porzucił, utrzymując, że nie miał ku temu odpowiednich sił. Brat Georgi wyszukał mu służbę u „bojarki Brankowicy“. Jakiego rodzaju to była służba? Nie podają nam tego rusińscy biografowie poety.

Mołdawska pani pozostawiła jednak w pamięci Fed'kowicza przyjemne wspomnienie; wyrażał się o niej zawsze ze czcią, i twierdził, że była to kobieta bardzo zacna i miłosierna i używała go do rozdawnictw hojnych jałmużn i datków dla niezamożnych... Ze wzmianek tych możnaby sądzić, że Fed'kowicz spełniał przy „bojarce“ coś w rodzaju urzędu, zwanego u nas dawniej „rękodajnym dworzaninem“; dziś tego rodzaju funkcyje zwykli spełniać sekretarze. We wspomnieniach poety, wyniesionych z naddunajskiej krainy, najpoczestniejsze miejsce zajmuje niemiecki malarz R. — Fed'kowicz nie wymienił jego nazwiska lecz tak z nim jak z jego rodziną łączyły go bardzo serdeczne stosunki i do śmierci aż wspominał poeta o nim z wielką czcią, dodając zawsze, że gdyby nie ten zacny Niemiec, on nigdyby nie był nabrał elementarnego wykształcenia i zamiłowania do nauki tak bardzo potrzebnej w jego zawodzie.

Już to przyznać trzeba, że mimo ciężkiej młodości i niedostatku, graniczącego prawie z nędzą, jakiego doświadczał w swej młodości, a i później, Opatrzność jednak czuwała nad młodym poetą i pozwalała mu zawsze zetknąć się z ludźmi zacnymi i pocziwymi, którzy szczerze pragnęli zająć się jego losem i niesli mu pomoc, o ile to w ich siłach leżało.

W sierpniu 1852 r. wzięto Fed'kowicza jako ośmnaścieletniego chłopaka do austryackiego wojska. Sprawa tego „wzięcia w rekruty“ jest dla mnie zupełnie ciemna. W jaki sposób Fed'kowicz zamieszkały w Jassach, dostał się do austryackich szeregów? Na pytanie to nie znalazłem odpowiedzi ani w ruskich biografiach, ani w żywej tradycyi. Ze wzmianek samego poety, rozrzuconych tu i owdzie po jego pismach, dojsć mogłem tylko tego, że uważał ten wypadek za wielkie nieszczęście i ciężki dopust Boży. Ze wszystkiego sądząc, przypuszczam, że prawdopodobnie rząd mołdawski musiał go wydać Austryakom jako emigranta „pozabawionego papierów“. Że tego rodzaju fakta zdarzają się na mołdawskiej ziemi, mamy świeże tego dowody.

II.

Rozpoczęła się dla Fed'kowicza uciążliwa służba „w kamaszach.“

Duch armii i sposób traktowania żołnierzy, zmienił się od tego czasu ogromnie, wówczas jednak sama myśl służby wojskowej, rodziła przestrach w żywszych, swobodniejszych umysłach. Wskutek dawnego, tradycyjnego systemu, każdy żołnierz musiał się zmienić w manekina, w maszynę bezduszną, wykonującą ewolucje regulaminem przepisane; każdy zaś oficer dziczał w tem otoczeniu, zanikały w nim uczucia ludzkie; ze średniowiecznej rycerskości, pozostały im były srogość, brutalstwo, spaczone poczucie honoru, — enoty zaś i zapal rycerstwa, pogubili w dziejowym pochodzie; nowy patryotyzm federacyjno-państwowy, ożywiający dziś szeregi armii, nie był się jeszcze zrodził.

Fed'kowiczowi ostrzyżono włosy i jako „rekruta“ zaliczono do czerniowieckiego, piechotnego pułku. Młody umysł poety, który w ostatnich latach pod wpływem jedyne go przyjaciela i opiekuna, niemieckiego malarza, stawał się po części kosmopolitycznym, kłonił się w uwielbieniu dla niemieckiej poezji; nagle otrzeźwił się z tej obcej naleciałości, znalazł się bowiem wśród samych rodaków, dzieci gór bukowińskich, Łeginiów¹⁾ karpackich; ich piosnki i opowieści rozbudziły w młodzieńcu na nowo przywiązanie do jego „zielonej“ Bukowiny. Stał się też wkrótce ulubieńcem całej „kompanii“, w której los mu służyć rozkazał. Wieczorem zbierali się młodzi Huculi do jednej izby i zabawiali się śpiewaniem tęsknych, „sumnych“ dum karpackich, albo słuchali opowieści o dawnych czasach. W opowieściach tych celował właśnie Fed'kowicz. Opisując (w liście do Didyckiego) tę epokę swego życia, mówi on, że opowieści zasłyszane w dzieciństwie od siostry, odzywały się w jego pamięci i sprawiły to, iż z ich pomocą zyskał serce swych towarzyszy.

Oprócz przywiązania żołnierzy, udało się Fed'kowiczowi zyskać i potężnego protektora. Kapitan dowodzący kompa-

¹⁾ Łegin — parobek, mołojec.

nią, do której wcielono młodego rekruta, nazywał się Appel i był wykształconym i ludzkim człowiekiem. Światły ten oficer, poznał się na nadzwyczajnych zdolnościach Fed'kowicza, i chcąc mu ulżyć trochę w służbie, wziął go do siebie jako „prywatnego służącego“. Z czasem tak go polubił, że uwolnił go zupełnie od wszelkich posług, uważał raczej za towarzysza, a nawet zajmował się dokończeniem jego wykształcenia, tak iż dokładną znajomość niemieckiego i francuzkiego języka zawdzięczał Fed'kowicz zacnemu kapitanowi.

W wojsku również spotkał się Fed'kowicz po raz pierwszy z Polakami; przyjaźni szczerzej z żadnym z nich nie zawarł, może wspomnienie niegodziwego postępowania własnego ojca odstręczało go od tego. Nienawiści jednak do Polaków nie miał już i wówczas, a w pismach swych raz tylko wspomina z niechęcią o Polaku: malując brutalnego kapitana, każe mu odezwać się po polsku.

Służba wojskowa ułożyła mu się wreszcie dość znośnie; oficerowie go lubili, towarzysze — a od chwili gdy został podoficerem — podkomendni przepadali za „ojcem Fed'kowiczem“ i całowali go po rękach, prosząc o huculskie piosnki. Przed samą wojną włoską, 19 kwietnia 1859 r. mianowano go oficerem w tym samym pułku. Wkrótce znalazł się nasz poeta w ogniu — na lombardzkich równinach. Wrażenia z tej krwawej walki, pozostawiły niezatarte ślady w jego umyśle i wycisnęły piętno na całej jego twórczości poetyckiej. Zimne, skostniałe oblicza zabitych, eicha rezygnacya konających, jęki i żalościwe skargi rannych, stały się dla młodego oficera materiałem, z którego miał później wysnuć najpiękniejsze swe pieśni.

Czy był w ogniu pod Solferino? Tego nie udało mi się napewno dośledzić. Niewątpliwą jednak jest pono jego obecność w bitwie pod Castenedollo. Wrażeniom z tej bitwy poświęcił jedną ze swych pierwszych dum.

Po wojnie, wprost z włoskiej ziemi powrócił pułk, w którym służył Fed'kowicz, do ojezyny i stanął na kwaterach w Czerniowcach. Właśnie w czasie tego pobytu w stolicy Bukowiny, Fed'kowicz nabrał samowiedzy o swem rusińskim pochodzeniu, nauczył się pisać po rusku i stał

się jednym z najgłośniejszych poetów mało-ruskiego plemienia. Najwybitniejszą osobistością, z którą się Fedkowiec zapoznał w Czerniowcach, był nauczyciel w gimnazyum czerniowieckim, Niemiec, Rudolf Neubauer, pisujący liryczne utwory w niemieckim języku. Wkrótce zawiązała się między nimi serdeczna przyjaźń. Systematyczny profesor, starał się wypełnić luki w wykształceniu młodego oficera; uznał w nim talent poetycki i zachęcał gorąco do próbowania szczęścia na piśmienniczym polu. Pierwsze utwory swe napisał Fedkowiec w obcym języku. Utwory te drukowane w jakimś piśmie niemieckim, wychodzącym w Czerniowcach, wydane później w zbiorowym wydaniu, bezimiennie, nosiły tytuł: *Am Tscherebusch, Gedichte eines Uzulen*. Były to niezaprzeczenie pierwsze „poezye“ Fedkowieca; wprawdzie wspominał on, że jeszcze w Jassach pod wpływem malarza R. pisywał „wiersze,“ nie przywiązywał jednak do tamtych utworów żadnej wagi, i uważał je za nieudolne, chłopiące próby talentu.

W domu Neubauera poznał się poeta z dwoma Rusinami: Antonim Kobylańskim i Konstantym Goblarem, dzisiejszym nauczycielem w realnem gimnazyum w Stryju. Ci dwaj panowie dzielą pomiędzy siebie zaszczyt nauczania Fedkowieca pisać po rusińsku. Na usilne prośby Kobylańskiego, napisał Fedkowiec pierwszą dumę po rusińsku p. t. *Nocleg* i wydrukował ją w czasopiśmie *Słowo na słowo*. Za pośrednictwem tych dwóch rodaków, poznał nasz poeta wielu wybitniejszych Rusinów na Bukowinie, zbliżył się do młodzieży i — jak sam przyznawał — wówczas dopiero nauczył się prawdziwie cenić i kochać rusiński język.

Niedługo jednak trwały te piękne dni; wkrótce pułk otrzymał rozkaz wymarszu, i znowu młody śpiewak musiał opuszczać tylko co odzyskaną, a tak już szczerze pokochaną ojczyznę. W miasteczku Ardal, w ziemi siedmiogrodzkiej, gdzie dostał pułk czerniowiecki nowe kwatery, zachorował nasz poeta ciężko, wskutek przeziębienia się podczas marszu. Długa, przykra rekonwalescencya, przykuła go na długie miesiące do szpitalnego łóża. Wówczas to, wolny od wszelkich zajęć służbowych, oddał się zupełnie pisaniu; w ardalskim lazarecie zrodziły się więc prawie wszystkie

utwory zamieszczone w zbiorowej książeczce, wydanej przez p. Didyckiego we Lwowie 1862 r. p. t. *Poesyi Josifa Fed'kowicza*.

Zdrowie podkopane długą a uporeczywą chorobą, długo, długo mu nie dopisywało. Lękali się o jego życie przyjaciele i nowo zdobyli wielbiciel jego talentu. Najgorszą była recydywa, w którą popadł w dzień Nowego roku 1863, natychmiast po powrocie z wojskowej parady. Dnia 11 stycznia t. zw. „młoda ruska gromada we Lwowie“ otrzymała od niego list, w którym z rezygnacją pisał: *Leżu w liżku i czekaju smerty*.

Wyzdrowiał jednak. Być może, że silna wola popychająca go ku tylko co rozpoczętej karierze literackiej, dźwignęła go z łoża niemocy i dodała sił do zwyciężenia choroby. Zaraz po wyzdrowieniu opuścił służbę wojskową a w dymisji, jako powód uwolnienia go podano: chroniczną chorobę oczu. I oto koniec drugiej epoki w życiu Fed'kowicza. Służba wojskowa, aczkolwiek czasem przykra a nawet wstrętna dla marzycielskiej natury naszego poety, dla talentu jego była bardzo korzystną: dała mu ona oryginalność i sposobność zebrania wrażeń takich, jakich bez niej nigdyby nie miał możności zebrać.

III.

Trzecią i ostatnią epokę swego życia poświęcił Fed'kowicz zajęciom literackim i służbie publicznej.

Po powrocie w ojczyste strony, zastał matkę staruszkę w nędzy i opuszczeniu. Prawie cały rok jeszcze żyła przy nim, chlubiąc się synem, który wówczas posiadał był już sławę znanego i cenionego (a kto wie, czy i nie przecenianego?) poety. Utwory poetyckie z tej epoki umieszczał Fed'kowicz w pismach *Weczerneyci*, *Meta* i *Niwa*.

W r. 1864 rozpoczęła się jego służba publiczna — hułskie gromady w Kimpolungskim obwodzie, obraly go swym zastępcą przy komisjach serwitutowych. Na tem nowem stanowisku żył się on z ludem, rozmiłował się w nim i posiadał zupełne jego zaufanie. W tej też epoce powstały

najcelniejsze jego powieści, osnute na tle życia Huculów. Równocześnie pisywał i wierszowane utwory, które ogłosił drukiem w Kołomyi p. t. *Poezji* (w trzech częściach). W r. 1866 ojezysta jego gmina Storonka-Putilów, obrała go wójtem, a w następnym zaraz roku krajowy rząd czerniowiecki zamianował go obwodowym inspektorem szkół ludowych. Na tem ostatniem stanowisku, oddał rusińskiej ludności podwładnego mu okręgu, ogromne usługi. Wszystkie gminy o rusińskiej ludności, dostały za jego staraniem — szkoły z rusińskim językiem wykładowym; wielu też młodych uzdolnionych Rusinów, swą radą i namową skłonił do przyjęcia uciążliwych obowiązków ludowych nauczycieli.

W tem miejscu zmuszony jestem dotknąć pewnej sprawy, dziwnie niemiłej; obowiązek jednak wiernego sprawozdawcy, zmusza do poruszenia tej ciemnej plamy w życiu nieposzlakowanej uczciwości człowieka. Ciągły stosunek z ludem, wywołał w naszym pocięciu i smutne następstwa. Fed'kowiez — jak wielu zresztą ludzi, których drogi żywota nie były usłane kwiatami — uległ straszliwemu nałogowi pijaństwa. Centralistycznie usposobiony rząd czerniowiecki, skorzystał z tej smutnej przyczyny, aby usunąć niemiłą dlań postać poety i przerwać jego wpływ na lud; odebrano mu więc wszystkie piastowane przezeń urzędy, a na jego miejsceznaczono ludzi sprzyjających rumunizacyi rusińskiego ludu. Stało się to w 1872 r.

Wkrótce potem zawarł Fed'kowiez układ z Towarzystwem wydawnictwa książek ludowych *Proświta* we Lwowie, mocą którego za pewną z góry umówioną kwotę (podobno 500 złr. rocznie) miał dostarczyć Towarzystwu dwadzieścia cztery arkusze druku ludowych powiastek i popularnych naukowych dziełek. W lipcu tegoż roku zjawił się nasz poeta we Lwowie i zdziwił, a nawet ponoś zraził wszystkich swą powierzchownością. Ubrany bowiem był tak, jak stroi się lud huculski w karpackich górach, i za nic nie chciał się zgodzić na zmianę tego dziwaczного kostiumu. Oprócz tego zapatrywania jego i zasady nie licowały zupełnie ze świętojurskim prądem wszechwładnym wówczas u ludzi kierujących *Proświtą*. On, wiedziony zapalem poetyckim pragnął dla Rusinów wolności, a nawet samoistności; w du-

szy karpackiego zapaleńca wzrosły bujnie ziarna Szewczenkowego posiewu. We Lwowie tymczasem nikt o takich mrzonkach nawet nie śnił; rozwieliżniły się tam były rosyjskie wpływy; ruble zjednywały coraz liczniejszych zwolenników zasadzie: utonięcia we wszechsłowiańskim (*recte* wszechrosyjskiem) morzu... Taki hucuł, kobzarz bukowiński w kieptarze i chodakach¹⁾, dla którego wywalczenie języka rusińskiego w szkole i gminnych naradach, było tylko etapem do utworzenia, do odbudowania — jak twierdził — jednej ze strun gęśli słowiańskiej, który dla siebie nie pragnął niczego, oprócz kęsa czarnego chleba — taki, powiadam oryginał nie mógł przypaść do serca ludziom prowadzącym wielką politykę na własną rękę, marzącym o dalekich biskupich tronach, o gubernatorskich czynach i pensyach. Niedługo też w *Proświcie* popasał. Opierając się na tem, że nie dostarczył wydawnictwu w oznaczonym czasie umówionej ilości arkuszy do druku, pożegnano go nawzawsze. Był to dla „prowodyrów“ niebezpieczny człowiek.

Wrócił na Bukowinę z sercem rozdartem i żalu ciężkiego pełnem, z niewiarą w uczciwość ludzi, którzy sprawę rusińską w przekupne a cchiwe dłonie ujęli. Czternaście miesięcy przepędzonych we Lwowie, Fed'kowicz zaliczał do najboleśniejszych w życiu. Jeden z jego bliższych znajomych opowiadał mi, że poeta zapytywany o przyczyny wyjazdu ze Lwowa, ruszając niechętnie ręką, odpowiadał:

— Jam nie dla nich!... Jam prosty Hucuł! huculskiego też szczęścia pragnąłem; tam zaś każdy o sobie tylko myśli i dobija się o honory, o majątek dla siebie i swych dzieci. Naszym obowiązkiem jest lud oświecać, a nie kieszenie własne napychać. Bóg zresztą będzie ich sądzić!

W liście pisanym do znanego Michała Dragomanowa, Fed'kowicz o tych przejściach tak się wyraża:

„Zmuszony intrygami, musiałem rzec się wszystkich urzędów, a sam poprosiłem lwowskich Rusinów o jakoweś miejsce, które — niech im to Bóg wynagrodzi — dostałem; w czerwcu 1872 r. przenieśliem się do Lwowa i tam prze-

¹⁾ Kieptarz — kożuszek bez rękawów, chodaki — obówie używane przez Huculów.

żyłem czternaście czarnych miesięcy, po to, ażeby rozczarowanym do kraju — pod własną strzechę powrócić.“

Wróciwszy na Bukowinę, żył Fed'kowiez w zupełnym niedostatku; w dodatku ogarnął go straszny smutek i pesymizm. Przypatrzywszy się bliżej ludziom kierującym „odrodzeniem rusińskim“ stracił odrazu wszelkie illuzje. Chorobliwe symptomata jakiegoś dzikiego mistycyzmu zaczęły się w nim ukazywać, i świadczyły, że dusza ta jasna, z bólu w obłęd popadła. Zetknąwszy się we Lwowie z ludźmi uczonymi, z profesorami i literatami z zawodu, uczył dotkliwie braku swego wykształcenia i zapragnął je uzupełnić. Rozpoczął te „uzupełnienia“ od niemieckiej spekulatywnej filozofii; stąpając po tej ujeżdżonej drodze, krok za krokiem doszedł aż do... Schopenhauera. Poetyczna swada niemieckiego pesymisty, nęciła go wdziękiem formy; czytywał go z namiętną pożądlivością, a tej trucizny zwątpienia nie mógł bezkarnie przyjmować — samouk, przybrany syn ludu, uczeń putyłowskiego diaka upoiła go ona, odurzyła; miał zanadto wrażliwą naturę. Pesymizm przerodził się dalej w nim w zupełnie już obłędny mistycyzm, który wzmagał się ciągle i doprowadził biednego, po manowcach ducha błędzącego poetę, do zajmowania się astrologią i wyższą kabałą. Żyd, oszust, udający wróżbitę i czarnoksiężnika, umiał pono wyłudzać ostatki i tak już bardzo szczupłych funduszów poety; awanturnicze cyganki zbiegały się doń z bukowińskich i siedmiogrodzkich gór... Pod koniec życia zdołał — jak twierdzą ludzie, którzy z nim bliżej żyli — otrząsnąć się z tych smutnych śmieszności.

W r. 1885 zawiązało się w Czerniowcach pismo literacko-patriotyczne p. t. *Bukowyna*; redakcyę tego organu młodej rusińskiej partyi oddano jednomyślnie Fed'kowiezowi. Firma to była bardzo popularna i wkrótce wszystkie lepiej myślące talenty literackie, wkoło niej się zjednoczyły. *Bukowyna* odrazu zamaifestowała się jako pismo szzeronarodowe, przyjaźnie usposobione dla wszystkich pobratymczych narodów słowiańskich, lecz równocześnie broniące starannie i troskliwie rusińskiej odrębności i stanowczo wrogie wszelkim mrzonkom o rozprysnięciu się we wszechsłowiańskim przestworzu. Do dziś *Bukowyna* i kierunek przez nią repre-

zentowany są solą w oku dla redakcyi *Czerwonej Rusi* i moskalofilów galicyjskich. Oprócz walki z nieszczerym i podstępnyim panslawizmem, walczyła również *Bukowyna* o swobodę rusińskiego ludu z dążeniami rumunizacyi, często panującami w rządzie krajowym czerniowieckim.

W rok po założeniu *Bukowyny*, spotkał Fed'kowicza wielki zaszczyt: cała narodowa, młodo-rusińska partya obchodziła w Czerniowiecach jubileusz jego dwudziestopięcioletniej działalności literackiej. Nawet zarząd towarzystwa *Proświta* — z którego wyrugowano przez ciąg ubiegłych lat wszystkie moskalofilskie żywioły — przysłał pocie adres, w którym życzy „śpiewakowi Bukowiny“, by swym natchnionym głosem przez długi jeszcze przeciąg lat budził uspiomych. Profesor Stefan Smal-Stockij wieczorem tego dnia wygłosił, wobec tłumów zebranej młodzieży, intelligencyi miejskiej, a nawet reprezentantów huculskiego ludu, odezwy o zasługach Fed'kowicza, oddanych rusińskiemu szczepowi. Rozczulony poeta dziękował zebranyim za cześć mu wyrządzoną i w prostych słowach oświadczył: że wszelkie siły jakie mu pozostały poświęci wyłącznie dla dobra Rusi i ludzkości.

Niedługo już jednak Opatrzność pozwoiliła mu żyć... i błędzić; wkrótce, bo już 31 grudnia 1887 r. umarł nagle, zabity gwałtownym wybuchem krwi.

Oto obraz niedługiego, lecz cierniowego pochodmu prawdziwie natchnionego poety, przez życie doczesne. Zbłądził on w niem nieraz, lecz i przeboleał wiele; szedł nie wspierany przez kochającą dłoń, nie mając obok siebie życzliwej, miłością przejętej piersi, na której mógłby był złożyć strudzoną głowę, ni sere przyjacielskich, w których mógłby był znaleźć zachętę i otuchę do dalszej walki. Dziwnie były podobne do siebie roczniki życiowe bukowińskiego śpiewaka i ukraińskiego kobzarza, Tarasa Szewczenki. I jeden i drugi w nędzy, niedostatku i boleści spędzają dziecinne lata, obaj od diaków-pijaków uczyli się abecadła; ciężka praca na suchy kęs chleba obu w pierwszej zaraz młodości przygniotła i skrzydła orle im podeięła; obu później gnębiły rygor i karność wojskowych szeregów — obaj wreszcie przed samą dopiero śmiercią dobili się sprawiedliwej oceny i uznania od ludu, któremu pracę życia całego poświęcili.

IV.

Ostatnie rozdziały mej pracy, poświęcę rozbirowi krytycznemu utworów Fed'kowieza.

Wszystkiego, co poeta napisał, nie mogłem przeczytać, utwory bowiem jego niedoczekwały się dotychczas zbiorowego wydania, a były rozrzucone po licznych pismach periodycznych, które zebrać, jest obecnie prawie niepodobieństwem. Utwory te musimy rozklasyfikować na trzy zupełnie odrębne działy: 1) poczye, przeważnie liryczne, z pierwszej epoki twórczości; 2) powieści, t. j. utwory pisane prozą, zbliżające się najbardziej do tego rodzaju formy literackiej, który dziś „nowellą“ zowiemy; 3) wreszcie wszystkie pisma z ostatniej doby twórczości poety, z czasów, kiedy jego umysł był już zamącony mistycyzmem i przegryziony bezbrzeżnym pesymizmem i zwątpieniem.

Niezwyčajna siła i polot poetyczny, orle prawie natchnienie, znamionujące pierwsze utwory Fed'kowieza, zwróciły odrazu na niego uwagę ludzi zajmujących się rusińskiem piśmiennictwem. Namiętna dusza „dziecka gór“ z dziwną pożądliwością chłoneła wszelkie wrażenia, a kojarząc je natychmiast z wspomnieniami dzieciństwa, z tym wrodzonym huculskiemu plemieniu sentymentalizmem, zapłodniała się pomysłami do tych wszystkich lirycznych utworów, które zjednały ich twórcy sławę i rozgłos. Epizody z życia żołnierskiego i z wojny włoskiej natchnęły Fed'kowieza do napisania całego szeregu dum żołnierskich, w których cierpienia żołnierskie i ogólna ludzka niedola, znalazły wierną ilustracyę. W dumie o bitwie pod Castenedollo wyrywa mu się taka pełna żalu skarga:

Podywyż ty sia maty
Na żownirskiji kabaty:
Wsia kabatyna
Krow i katyna!
Tyż hidnaja mia piznaty?

(Popatrz się matko na żołnierskie mundury: cały mundur, to krew i kalina! Czyż zdołasz ty mnie poznać?).

Bardzo często utwory Fed'kowicza z tej epoki są więcej pieśniami śpiewanemi przez żołnierzy, które autor ujął tylko w formę metryką przepisaną, zazwyczaj nawet monotony rytm pieśni huculskich pozostawiając niezmienionym. Któż n. p. z pośród tych, którzy przysłuchiwali się przy myśliwskim ognisku tęsknym śpiewom *leginiów* karpackich, nie pozna w dumie p. t. *Towarysi* rodzonej siostry tych ludowych pieśni:

Hej brate myłyj! Hej! cy czujesz?
 Czoho ty chodysz, taj sumujesz;
 Czoho sumujesz taj dumajesz,
 Konia futrujesz, ne spiwajesz? —
 Ot — tak mij druże, tak, sokołe,
 Pojidem rano w czyste pole
 Z Francuzom, z Sardom wojowaty,
 Czej perestanu wże dumaty?.

(Hej bracie miły! Hej! czy słyszysz? Czego ty chodzisz zasmucony, czego się smucisz i dumasz, konia karmisz a nie śpiewasz? — Ot, tak mój drogi, tak sokołe, pójdziemy rankiem w czyste pole, z Sardem, z Francuzem wojować! Może przestanę raz dumać?).

W następnych strofach tej samej dumy posługuje się autor wprost słowami ludowej piosnki, dodając tylko nazwy miejscowości wstawionych za czasów włoskiej wojny:

Cy to w poli pid Madżentow
 Jawir powaływ sia?
 Cy to w poli pid Madżentow
 Ułan zakołenyj?
 Pokłonyw sia hołowoju
 Na horyaczij kamiń
 A kanony zahukały
 Po Madżenti: Amiń! —
 Hej zkaży my, krasnyj ulan:
 Cy ne tut konaty,
 Lipsze znajut zadzwonyty
 Jak u doma zwony?

Taj skaży my, myłyj brate;
 Cy ne tutki kruki
 Lipsze znajut naryadyty,
 Jak najmyszi zwuki?

(Czy to w polu pod Magentą jawor się powalił? Czy to w polu pod Magentą ułana zakluto? Skłonił głowę na gorący kamień, a armaty zahuczały po Magencie: Amen! Hej! powiedz mi piękny ułanie: Czy nie dobrze tu konać? Lepiej tu umięją zadzwonić niż domowe dzwony. Hej powiedz mi miły bracie: czy tutejsze kruki nie przyrządzą cię lepiej niż najmilsze dzwinki?).

Miejscami przebija się i egotyzm, ale szlachetny i podniosły, n. p. w poniżej przytoczonym ustępie poeta niby tłumaczy się z tego, że dotknął strun lutni:

Moja maty mene porodyła
 Tam hde worły wodu pyły
 Ta i spiwanok mene wyuczyla
 Wisimdesiat' i czetyry.
 Bo moja maty mene porodyła
 W czistim poly pry Dunaju:
 Spiwaj mij synu — tak mi haworyła —
 Jak solowij w temnym haju!...
 A ja litaju po haju... dubrowi,
 Ta i szcze budu ta i litaty,
 Oj! pizwiltę my syny sokołowi
 Meży wamy zaśpiwaty!...“

(Moja matka mnie powiła, tam gdzie orły wodę piły i nauczyła mnie ośmdziesiąt cztery pieśni; bo moja matka powiła mnie w czystym polu nad Dunajem. Śpiewaj mój synu — tak ona mówiła — jak słowik w ciemnym gaju! Więc ja latem po gajach... dąbrowach i jeszcze latać będę! — Oj! pozwólcie mi sokoli synowie wraz z wami zaśpiewać).

Egotyzm ten wzmógł się później, lecz i wyszlachetniał jeszcze bardziej. Poeta nabrał samowiedzy swego stanowiska; czasami sięgał wieszczych prawie nut, zdradzał wieszczę polot; wiara w dobry skutek swego posłannictwa i przy-

szłość ukochanego przezeń plemienia, maluje się w następujących słowach:

A ja zaśpiwaju po ruskomu kraju
 Szczob buło daleko... daleko mia ezuty;
 Wid Czornoji-hory do Dniepra — Dunaju
 Rozsyp sia my piśni, barwinkom ta rutow:
 Naj ruški mołojci zatyczut kresani,
 Naj ruški diwezata winki sobi szyjut,
 Naj lude ne każut — szczo my beztałanni,
 Naj śłozy krowawi łyczka nam ne myjut!
 Rozsyp sia my piśni, jak soneczko liti
 Chaj nasi krowawi na wiki obsuszyt.
 Rozsyp sia, rozdał sia — jak hrim po Rokiti
 Chaj szwargit nimeckij nas bilsze ne hłuszyt!

(Zaśpiwam ja w ruskim kraju, tak, żeby mnie można słyszeć daleko... daleko; od Czarnohory do Dniepru — Dunaju rozsyp się ma pieśni barwinkiem i rutą. Niech ruscy mołojcy ustroją kwiatami kapelusze, niech ruskie dziewice wieńce sobie wiją, niechaj ludzie nie mówią, że my nieszczęśliwi, niechaj łyz krwawe lic naszych nie myją... Rozsyp się ma pieśni jak słoneczko w lecie, osusz nasze łyz krwawe na zawsze; rozsyp się jak grom po Rokicie (szczyt karpacki). Niechaj szwargot niemiecki dłużej nas nie głuszy!).

Ciekawym bardzo objawem jest wiersz p. t. *Preczysto diwo raduj sia Marijo!* Gdym go po raz pierwszy czytał, nie mogłem wyjść ze zdumienia; uparcie mi się zdawało, że wiersz ten musiał autor chyba przetłómaczyć z jakiegoś nieznanego mi utworu pani Konopnickiej; szczegół ten jednak, że wydrukowano go na piętnaście lat przedtem, nim p. Konopnicka zaczęła pisać, usunął moje podejrzenie. W każdym razie socyalno-sentymentalny pesymizm, który dźwięczy w przeważnej ilości utworów pełnej talentu poetki, który dalej rozrodził się w całym, licznym potomstwie duchowem *Janka muzykanta*, drga w wierszu Fed'kowicza w całej już swej potędze. Wiersz ten jest zanadto ciekawy — i powiem otwarcie — za nadto piękny co do formy, ażeby mógł się wstrzymać od przytoczenia z niego kilku ustępów. Mojem zdaniem, jest to najwyższy szczyt rusińskiego liryzmu:

W syne more sonce jasne tone,
 I swoje świtło, niby krow ezerwone,
 Po wsij kraini dokoła sije;
 A tam zazulku w haju deś czuwaty,
 A tam zwinoczok staw selam kowaty,
 Tam w boru witer lystiom szewilije:
 Preczysta diwo, raduj sia, Marije!

Preczysta diwo, raduj sia, Marije!
 On mołod żowniar, liahsy na murawi,
 Łyczko studene, szaty mu krowawi.
 Rozstrilen nynti, bo — samyj ne wmije;
 Kamraty jamu temu mu wkopaly
 I na spoczynok bidnoho w nim skłały,
 Uże ne skaże jak zwinok zapije:
 Preczysta diwo, raduj sia, Marije!

Preczysta diwo, raduj sia, Marije:
 Pid plotom siła odowycia maty,
 Do sebe tulyt bidne syrotiaty,
 I płacze rewno, serdeńko ji mlije;
 Bo wże ne płacze, wże i ne hołysyt,
 Skłonyła hołow! bilsze ne pidnosyt,
 Zirnyci płaczut, a zwinok nimije,
 Preczysta diwo, raduj sia, Maryje!

Preczysta diwo, raduj sia, Maryje:
 Tam onde błudyt splakana dytyna,
 Bez tata, mamy, bidna serotyňa;
 Niczo ne jilo, duszeńka mu mlije;
 I choeże w chatu bidne nawernuty
 — Gospodar psami jeho trowyt — czuty:
 Wereskło, wpało, krow sia z niżki lije.
 Preczysta diwo, raduj sia, Marije!

Preczysta diwo, raduj sia, Marije!
 Bo ja ne možu; wszak ja maju duszu,
 I czuty muszu i dywyty muszu
 Szczo tut na switi, ach! tutkie sia dije,

Da, jak do hrobu złożył moje тіlo,
 Do temno, tisno, studeno zatiło,
 De nie ne płacze, de use nimije:
 Preczystya diwo, raduj sia, Maryje!...

(W błękitnem morzu jasne słońce tonie, i światło swoje niby krew czerwone, po całym kraju wokóło roztacza. A tam kukulka odzywa się w gaju, a tam znów dzwonek w siole się kołysze, tam w borze wietrzyk listkami szeleszcze: Przeczysta Panno, raduj się, Maryo!

Przechysta Panno, raduj się, Maryo! Opodal młody żołnierz padł w murawę, lica ma zimne, szaty jego krwawe, rozstrzelan dziś, on bo sam nie potrafił — towarzysze dół ciemny wykopali i na spoczynek biednego złożyli; już on nie rzeknie, kiedy jęknie dzwonek: Przeczysta Panno, raduj się, Maryo!

Przechysta Panno, raduj się, Maryo: pod płótem siedzi owdowiała matka, tuli do piersi biedne sierociątko i płacze rzewnie, serec w niej omdlewa. — Oh! już nie płacze, nawet już nie jęczy, skłoniła głowę, już jej nie podnosi i gwiazdy płaczą a dzwonek oniemiał. Przeczysta Panno, raduj się, Maryo!

Przechysta Panno, raduj się, Maryo: Patrz tam się błąka splakana dziecina, bez ojca, matki, nieszczęsna sierota; nie jadło dotąd, duszyczka w niem mdleje, biedna, do chaty pragnie się gdzieś wprosić, gospodarz psami szczuje, oh! tam słyhać: krzyknęło, padło, krew mu z nózki płynie. Przeczysta Panno, raduj się, Maryo!

Przechysta Panno, raduj się Maryo! Bo ja nie mogę, wszak i ja mam duszę, i słyhać muszę, i spoglądać muszę; co tu na świeccie, ach! na tym się dzieje. — Gdy wreszcie w grobie złożą moje ciało, gdzie ciemno, ciasno, zimno i zadusnie, gdzie nie nie płacze, gdzie wszystko niemieje: Przeczysta Panno, raduj się, Maryo!)

Czytelnicy nieznający rusińskiego języka nie mogą mieć wyobrażenia o sile tego rozpaczliwego, prawie bluźnierskiego wiersza, z mego prozaicznego przekładu. Może nam, wierzącym głęboko w miłosierdzie Boga, wydać się on bluźnierczym, niemoralnym, nie możemy jednak zaprzeczyć, że poeta,

który go napisał, odczuwał niedolę ludzką do przesyty prawie; bolała go ona tak, że aż zapominał o Opatrzności i zwątpił w miłosierdzie — nie on jeden zresztą błędził w ten sposób, Bóg mu zapewne przebaczy... Nie możemy również nie uchylić głowy przed wdziękiem formy, a zapominać nienależy, że tworzył to człowiek, który w dwudziestym piątym roku życia nauczył się pisać po rusińsku. Ten jeden wiersz powinien zapewnić Fed'kowiczowi poczesne stanowisko wśród plejady poetów całej Słowiańszczyzny.

Ciekawemby było dojść: czy i w jakim stopniu na twórczość Fed'kowicza wpłynęła polska literatura?... Na tego rodzaju studyum porównawcze, nie mam w tej pracy miejsca; pewnem jednak jest, że czytywał po polsku i znał rodzinny język swego ojca; mamy tego dowody w dwóch jego opisowych utworach, w umieszczonych, na końcu tomiku wydanego w 1862 r. we Lwowie: *Prazdnyk w Takowi* i *Kірdзали*, są one tylko rymowanymi przeróbkami z powieści Michała Czajkowskiego, i powiedzmy szczerze, o wiele słabszemi, niż oryginalne prace Fed'kowicza z tej epoki.

V.

Dziwnego uczucia doznaje się, czytając po raz pierwszy „powieści“ Fed'kowicza. Są to utwory tak oryginalne, że oprócz „skazek“ ludu rosyjskiego, nie zdarzyło mi się nie podobnego spotkać; a i od „skazek“ różnią się tem, że nie mają tego całego romantyczno-przesądowego aparatu, który znamionuje te pełne fantazyi baśnie ludowe. Pod względem objętości zbliżają się te utwory bukowińskiego poety najbardziej do tej kategorii, którą dziś autorowie zwą ryczałtowo: nowellą; największa powiastka p. t. *Luba — zhuba*, zawiera około tysiąca wierszy druku.

Najbardziej uderza w nich bezwzględna przedmiotowość: ani śladu jakiegokolwiek tendencyi... Nie, nie, oprócz jakiegoś zdarzenia, wypadku, ustępu z życia ludu huculskiego, opowiedzianych przez jedną z osób, która brała współudział w samej akcji; zazwyczaj opowiada żołnierz Hueuł swoim towarzyszom. Obrazki te kreślone są bardzo wiernie i z pew-

nym Fed'kowiczowi tylko właściwym realizmem. Nie jest to ten dzisiejszy szablonowy — że się tak wyrażę — scholastyczny, manierowany realizm; nie! efektów realistycznej „szkoły“ unikał Fed'kowicz, a raczej nie miał o nich zgoła pojęcia, pisał bowiem te powiastki przed rozwieleniem się tej szkoły. Jest to zdrowy naturalny realizm, posługujący się językiem wziętym wprost z ust ludu, malujący zwyczajne wady i zalety, złą i dobrą dolę tego ludu, bez żadnej pretensjonalności. Robią też te powiastki na czytelniku wrażenie podobne temu, jakie wywołują opisy Homera, pieśni Niebelungów, lub bohaterskie śpiewy południowych Słowian. Gdyby z woli Boga lud huculski znikł nagle z powierzchni ziemi, gdyby jego miejsce zajęło zupełnie inne plemię, to przyszły badacz znalazłby owych zaginionych gór mieszkańców, żywych i czynnych — w Fed'kowicza powieściach.

Prawda, że ludzie i czyny malowane przez tego autora, zbliżają się trochę za nadto do doskonałości, do ideału. I tak wszystkie uczucia są posunięte do zenitu; ludzie ci umierają z miłości, nienawiść zawsze kończy się śmiercią jednego z nienawidzących się; zemsta przybiera barwy „vendetty“... a jak ci ludzie strzelają? Czy do wroga, czy do siebie samego, żaden z nich nigdy nie chybił. Ustęp powyższy wygląda na zarzuty czynione zmarłemu autorowi — na krytykę. Nie jest nią jednak. Poznałem plemię huculskie z bliska i przekonałem się, że to, co opisuje Fed'kowicz, nie jest zupełnie przesadą; to co byłoby „idealizowaniem“ w opisie każdego innego ludu, jest tylko „realizmem“ w huculskiej opowieści.

Wspomniana już przedmiotowość Fed'kowicza znamionuje się przede wszystkim tem, że maluje on tylko zewnętrzne strony życia: postać, otoczenie, zwyczaj, czyny i wyrazy twarzy, a ruchy ciała w czasie spełniania tych czynów; w psychologię zupełnie się nie bawi, nie tłumaczy czytelnikowi dlaczego to a to, tak a tak się stało, nie analizuje wrażeń i uczuć. Pomimo tego rysunek zewnętrzny jest tak wierny, tak doskonały, że czytelnik sam odrazu odgaduje przyczyny, które wywoływały opisywane w powieści skutki. Powiastki te robią wrażenie pięknych rysunków, w których artysta malując zewnętrzną postać i wyraz twarzy —

przedstawił nam wnętrze duszy. Ażeby dać czytelnikowi choć słowo wyobrażenia o tych powiastkach, przytoczę tu treść jednej z krótszych, mianowicie drugiej z porządku (w zbiorze wydanym przez Dragomanowa) p. t.: *Kto winien?*

Stara Ławrycha była bohaterką (bogaczką) ogromną! I poloninę miała swoją własną, i bydła bez liku, i dworzyn-cze pobudowała sobie prześliczne, aż z lackiego brzegu majstrowie budowali i przebudowywali, malowali i przemalowywali — dwór poprostu wspaniały. Ławrycha miała dwie córki: Kalinę starszą i młodszą Ołenę; obie były przepiękne i gospodarne. W sąsiedztwie mieszkał młody Hucul „dobrego wzrostu i rumianego lica“, zwał się Markiem. Kalina pokochała Marka a Marko Kalinę. Co wieczora dziewczyna wybiegała do „wiśniowego sadku“ i tam spotykała się z uko-chanym.

— Marku, serdeńko! — pytała dziewczyna — dlaczego ty taki smutny a nie wesoły? Opowiedz mi przyczynę, duszko!

— Fiolku ty mój przepyszny — odpowiadał chłopak — boję się, czy ja ci twoich młodych lat na próżno nie bala-mucę... Ja sierota bez ojca, bez matki, jam ubogi, bardzo ubogi, a ty... I nie skończył, tylko łza spłynęła po pięknem licu a po chwili dodał:

— Dziewczę drogie, przestańmy się my kochać!

— Ty mnie możesz porzucić, lecz ja ciebie nigdy — odpowiedziało dziewczę — i przytuliło mu się jak listek do serea.

— Nie! ja cię nigdy nie opuszczę aniele mój niebieski... Niech się dzieje wola Nieba!

Tymczasem bogacz wielki z polskich gór, stary Myki-tuła owdowiał, a dowiedziawszy się od rzemieślników, którzy u Ławrychi robili, o jej pięknych córkach, posłał „swa-tów“ z prośbą, o rękę starszej Kaliny. Dziewczyna słysząc o tem, nie chciała, płakała gorzko, mdlała; nie to nie pomogło, stara matka zmusiła ją wyjść za bogacza. Los jej był smutny, mieszkając daleko od rodziny, poskarżyć się nawet nie miała komu, a miała tyle przyczyn do skarg. Męża sta-rego nie kochała, a on się w niej rozmiłowałna umor, czuł jednak, że w sereu żony nie znalazł wzajemności... pił więc z rozpacz, a wróciwszy do domu pijany, bijał żonę, ażeby

ją zmusić w ten sposób do pokochania go wreszcie. Kalina w takich warunkach, z każdym dniem bardziej wędła i usychała. Pewnego dnia u Mykituły zjawił się silny lecz błądy parobek szukający służby. Gospodarz go nie znał i przyjął; Kalina zaś odrazu poznała w przybyszu swego ukochanego Marka. Wkrótce stary gospodarz wyszedł jak zwykle do karczmy — kochankowie zostali sami.

— Marķu! kochanie moje nigdy niezapomniane — zawołała młoda kobieta — idź! idź! zostaw nas! nie szarp mego serea.

On chwycił za kapelusz:

— Idę! — rzekł — do Czeremoszu głębokiego niedaleko!

Ona wówczas chwyciła go za rękę:

— Nie idź — zawołała — albo i mnie weź z sobą.

Pozostali oboje i nie zrazu z sobą nie mówili, tylko gorzko płakali. Marko wreszcie pierwszy przemówił:

— Dlaczego ty gołąbko masz takie sińce pod oczami? Jaka tego przyczyna, gołąbko?

— Niemily zabija! — odpowiedziała kobieta. — Oh! Marku moje seree, żebyś ty wiedział, jak on mnie bije! Oh! jak że on mnie bije, bije!

Tymczasem stary Mykituła, pijany jak noc, wrócił z karczmy i od razu zaczął lajać żonę za to, że ona go nie kocha; wreszcie rozgniewany jej upartem milczeniem, rozpoczął zwykłą operacyę — drzewiskiem od toporka zaczął okładać jej plecy. Widząc to Marko, rzucił się jak wściekły ku niemu i pragnął mu wyrwać z rąk toporek; w walce tej siekiera przypadkiem ugodziła w czoło pijanicy i zabiła go na miejscu. Marka okutego w kajdany zaprowadzono do więzienia w Stanisławowie, gdzie umarł w rozpaczę — a Kalina dostała pomieszania zmysłów. Stara Ławrycha w rok później wydała młodszą córkę za zupełnie ubogiego, lecz kochanego przez Olenę chłopaka, sama zaś została posługaczką w klasztorze, ażeby za grzechy popełnione pokutować.

Inne powiastki, choć różne treścią, wszystkie są podobne duchem i formą; we wszystkich panuje ten tragiczny pierwiastek, krzewiący się tak bujnie na huculskim gruncie. Jedna tylko powiastka jest zupełnie inna i nie kończy się tragicznie, jest nią: *Try, jak ridni bratia*. Swoją drogą jest

też ona najsłabsza z całego zbioru i najmniej sympatyczną. W niej to występuje lekkimi konturami zaledwie nakreślona, postać owego nieludzkiego kapitana-Polaka, srogiego i brutalnego oficera; polskości jego domyślać się możemy z tego powodu, że zwracał się do żołnierzy z niegrammatycznym polskim zapytaniem: „Co chcesz?” Konsekwencyi żądanych zresztą autor nie wyprowadza z tej figury, a bezstronność zmusza nas do przyznania, że niestety podobnych oficerów-Polaków było wielu, we wszystkich armiach rozbiorowych mocarstw.

A wreszcie kilka słów jeszcze o języku, którym pisane są powiastki Fed'kowicza. Nie jest to powszechnie znany i używany dziś w rusińskiej literaturze język, dążący do stania się językiem piśmiennym — jest to poprostu „gwara“ huculska, która dzięki talentowi Fed'kowicza nadała się doskonale do tego rodzaju utworów. Kto nawet zna język używany przez rusińskich literatów, ten — chcąc przeczytać te powiastki — musiałby odbyć pewne „studya“: najpraktyczniej pono przepędzić kilka miesięcy wśród ludu huculskiego. Dragomanow przy kijowskiem wydaniu dodał słowniczek słów używanych w górach, a nieznanych zupełnie w innych stronach kraju. Język w nich użyty utrudnia, uniemożliwia prawie dla Polaków poznanie tych ciekawych i oryginalnych utworów. A szkoda — wielka, bo wyznam otwarcie, że — mojem zdaniem, — nasi liczni adepci „nowellistyki“ z wielką korzyścią mogliby przeczytać utwory tego gorzkiego samouczka: znaleźliby w nich treść i akcyę żywą, a urozmaiconą. Śpiewak bukowiński opisywał ludzi, ich czyny, wady i zalety; nie roztkliwiał się nigdy i nie wylewał strumieni zachwytu nad martwą naturą; nie podnosił na wyżyny bohaterstwa: krów, psów, osłów, lub koni, tak, jak to czynią dziś nasi „naturaliści“. Szkoda również wielka, że powiastki te z przyczyn językowych, przedstawiałyby tyle trudności dla tłumacza, iż o dobrem, dokładnem i wiernie oryginala malującym tłumaczeniu — prawie marzyć nie można.

Na zakończenie dodam, że w powieściach tych krytyk dzisiejszy mógłby wytknąć wiele usterek co do formy; uwzględniwszy jednak czas, w którym były pisane, przyznać musimy, że rusiński autor przez nie wstąpił na ten po-

ziom, na jakim stali współcześni mu autorowie innych narodów słowiańskich, mających dawniejszą cywilizację i bogatsze zasoby literackie. Wielka szkoda, że Fed'kowiec tak prędko zaniechał pisać powiastki ludowe.

VI.

Nad wyraz bolesnego uczucia doznaje się, czytając utwory autora, który zablysnął zrazu niezwykłym talentem, a w późniejszej karierze literackiej, spadł z wyżyn i wniósł się w tłum najzwyczajniejszych pismaków. Niestety, Fed'kowiec podzielił w tej mierze los wielu genialnych autorów. Lampa jego talentu płonąca zrazu dziwnie jasnym blaskiem, wypaliła się rychło, a później długo jeszcze kopcąc i śwędząc, dogasała powoli. Czy fizycznej natury przyczyny, czy zawody i rozczerowania życiowe sprawiły, że nasz góral w ostatniej epoce swego żywota nie a nie nie napisał, coby warte było wspomnienia. Tragedya jego *Chmielnickij* i przerabiany po kilkakroć *Dowbosz* są to martwe obrazy, fałszywie obrachowane na efekt, a niezdarnie uscenizowane.

Jak długo brał temata z życia karpackiego, które znał doskonale, tak długo stwarzał rzeczy świetne; kiedy zaś do zbakierowanego umysłu wnięszwały się „szerokie ruskie aspiracje“, kiedy utwory swe chciał zrobić narzędziem propagandy politycznej, szczęście go opuściło; począł malować bezładne utwory, pozbawione prawdy i duszy. Najudatniejsze jeszcze może z pomiędzy tych poronionych płodów, są: *Dzikie dumy*; w nich budzi się jeszcze czasem dawna wieszcząca siła i błyska dawny talent. W jednej z nich ubogi *lehiń*, junak huculski, klęcząc na mogile *Dowbosza* (sławnego, z tradycjami huculskimi zrosłego opryszka) zapytuje spoczywającego w ziemi bohatera pieśni ludowej: jaka go dola w życiu czeka?

— Będiesz królem! — odpowiedział głos z mogiły.

— Królem! Nie chcę być królem; nie zdałem się na kata!

— To *Dowboszom* będziesz! — zagrzmiało z mogiły, aż jęknęły okoliczne góry.

— Ja *Dowboszom*? Za nic w świecie!

— To pieśniarzem będziesz! — jękło tak żałośnie z pod mogiły, że aż góry się uzałyły a szczyty pochyliły swe czoła.

Z ustępu tego przeziera znowu ten sam egotyzm, który naznaczyłem już poprzednio; pod tym wpływem myśl poety rozjaśniła się trochę; rzadkie to jednak były błyski. Typem twórczości tej końcowej epoki podupadłego śpiewaka, jest „melodramat“ (!?) p. t. *Kiermanyecz*; trudno o coś bardziej cudackiego pod względem formy, a mglistszego i bezładniejszego w treści.

Niepowołany i może niedostatecznie przygotowany, zabrałem się do skreślenia tego szkicu; wzgląd na to, że publiczność nasza prawie nie znała tej ciekawej postaci, i przypadek, jaki skierował mnie w strony, w których Fed'kowicz żył i gdzie wspomnienia o nim tkwią żywo w sercach ludu i wielbicieli jego talentu — skłoniły mnie do napisania tej dorywczej pracy. Szczęśliwym się czuć będę, jeżeli moja wzmianka o mało znanym a sympatycznym pieśniarzu, skłoni którego z fachowych badaczy i znawców literatury rusińskiej do skreślenia pełniejszego, bardziej wyrazistego obrazu „śpiewaka zielonej Bukowiny“.



